

C.J. DAUGHERTY
CARINA ROZENFELD



TAJEMNE
MIASTO

KONTYNUACJA BESTSELLERA
TAJEMNY OGIEN

moondrive

C.J. DAUGHERTY
CARINA ROZENFELD

TAJEMNE
MIASTO

TŁUMACZENIE
MAŁGORZATA HESKO-KOŁODZIŃSKA

moondrive
KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *The Secret City*

Copyright © 2015 by C.J. Daugherty and Carina Rozenfeld

Copyright © for the translation by Małgorzata Hesko-Kołodzińska

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Projekt okładki: © Design by LBBG – Jack Smyth

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Jordi Santacana Figuerola / Shutterstock.com

Adiustacja: Magdalena Adamek / d2d.pl

Korekta: Sandra Trela / d2d.pl,
Anna Woś / d2d.pl

Łamanie: Małgorzata Poździk / d2d.pl

ISBN 978-83-7515-421-4

moondrive
www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

– Nie zachowuj się jak dziecko i spróbuj jeszcze raz – zażądała Louisa.

Podniosła następny masywny kamień i ruszyła w kierunku chybotliwego stosu. Głaz niemal dorównywał wielkością ludzkiej głowie, więc mięśnie Louisy napinały się z wysiłku, a skomplikowane tatuaże na jej skórze drżały, gdy z trudem stąpała po ciemnym, mokrym piasku na brzegu rzeki.

Położyła kamień na stosie i cofnęła się pośpiesznie jakby z obawy, że sterta wybuchnie.

Taylor z założonymi rękami obserwowała to widowisko w ostrym świetle popołudniowego słońca. Stary hangar na łodzie był jedynym budynkiem w polu widzenia, dalej rozściierały się tylko migoczące zielenią łąki.

Louisa i Taylor były tu całkiem same. Wcześniej nieopodal przemknęło kilku wioślarzy, błyskawicznie sunąc po wodzie, i od tamtej pory nikt się nie pojawił. Ciszę zakłócały jedynie syk wiatru w trawie i bzyczenie pszczół wśród polnych kwiatów.

Okolica idealnie nadawała się na trening.

Upał stawał się trudny do wytrzymania. Jasne loki kleiły się do wilgotnych policzków Taylor, gdy z powątpiewaniem spoglądała na kamienie.

– Daj spokój, Lou – westchnęła. – Dlaczego aż tyle?

Louisa oparła się o mur hangaru i popatrzyła na nią zbołałym wzrokiem.

– Gdyby płacili mi za wysłuchiwanie twojego stękania, nie zbierałabym teraz kamieni po polach – burknęła. – Skupisz się wreszcie, czy nie?

Jej niebieskie włosy zalśniły w promieniach słońca, przemieniając je w lazurowe iskierki.

Taylor dała za wygraną i zamknęła oczy.

W ciemności pod jej powiekami raptownie ożył świat alchemii. Cząsteczki energii roztańczyły się wokoło, a umysł Taylor nadał im formę namacalnych obiektów – falujących, złocistych pasm mocy z wysokiej trawy na łące za hangarem i jedwabistych, miedzianych sznurów molekuł światła w powietrzu.

Największy potencjał skrywał się w rzece. Z perspektywy Taylor wyglądała jak strumień bursztynowej lawy spływającej nieśpiesznie przez kwiecistą przestrzeń.

Taylor nauczyła się dostrzegać niewidzialne dla ludzkiego oka cząsteczki. Musiała widzieć to, czego miała dotknąć, by tym manipulować lub to zmienić.

Odetchnąwszy głęboko, starannie wybrała jedno z cieńszych pasemek w wodzie i przekierowała je na kamienie.

„W górę”.

Czuła, kiedy alchemia zaczęła działać. W takich chwilach żyły Taylor wypełniały się strużkami oszałamiającej energii, zniewalającej mocy.

Otworzyła oczy.

Ciężkie głazy ze sterty unosiły się niczym baloniki, wysoko nad powierzchnią ociężałej rzeki. Starannie ułożone jeden na drugim, tworzyły wielopiętrowy kamienny tort.

Taylor z satysfakcją przyglądała się swojemu dziełu.

– Gotowe – oznajmiła.

– Fenomenalnie. – W głosie Louisy nie było słycać po
dziwu. – A teraz delikatnie ułóż je na wodzie.

Z tym zadaniem Taylor próbowała się uporać przez cały
dzień. Przekonała się, że podnoszenie kamieni to jedno, a od-
kładanie ich na konkretne miejsce to zupełnie co innego.

W skupieniu marszcząc brwi, uczepiła się pasma energii
i spróbowała delikatnie opuścić głazy na powolne fale.

„Na wodę”.

Niemal wyczuwała potężny ciężar kamieni, które zdawały
się przeciwstawiać jej mocy. Przyciąganie ziemskie było nie-
ubłagane.

Na czole Taylor perliły się krople potu. Zaciśnęła pięści,
usiłując nie stracić kontroli nad sytuacją.

Przez krótką chwilę sterta zachowywała się zgodnie z jej
życzeniem, opadając ku tafli szarobłękitnej wody łagodnie
niczym płatki róż. Potem, całkiem nieoczekiwanie, złociste
pasma molekularnej energii raptownie wyrwało się spod kon-
troli i jak duch zatańczyło na obrzeżach pola widzenia Taylor.

– Nie! – Wyciągnęła ręce, jakby mogła powstrzymać to, co
się miało wydarzyć, ale było już za późno.

Kamienie wystrzeliły na wszystkie strony. Jeden z nich po-
mknął prosto w kierunku Louisy, która zakłęta i błyskawicz-
nie uniosła rękę. Wyglądało to tak, jakby głaz uderzył w nie-
widzialną ścianę nad nią, odbił się i z głuchym łupnięciem
upadł na skraj łąki. Dwa inne wpadły w wodę daleko w górze
rzeki. Jeden zniknął na drugim brzegu.

Po tym pokazie nawet ptaki umilkły, jakby potrzebowały
chwili na kontemplację nieudolności Taylor.

– Szlag. – Taylor otarła mokre czoło. – Głupie kamulce. –
Odwróciła się do Louisy. – Nie mogłybyśmy znowu pozapalać
świeczek? Uwielbiam świecek.

Louisa pokręciła głową.

– Chodzi o kontrolę, blondyno – odparła. – Masz tę swoją naturalną odjazdową zdolność, a teraz musisz się nauczyć, jak ją okiełznać, zanim kogoś ukatrupisz.

– Och, dzięki, Lou. – Taylor ze zmęczeniem odgarnęła włosy z lepkiej twarzy. – Od razu mi lepiej.

Zanim Louisa zdążyła powiedzieć coś uszczypliwego, zadzwonił jej telefon. Gestem pokazała Taylor, że zaraz wraca, i odeszła do hangaru, żeby odebrać na osobności.

Taylor powiodła za nią wzrokiem. Louisa nie przekazała jej jeszcze wielu informacji. Oksfordzkie Kolegium Świętego Wilfreda skrywało tajemnice nagromadzone przez wieki, a najważniejsza dotyczyła właśnie Taylor.

Westchnęła i ciężko usiadła na starej drewnianej ławce, wyglądzanej przez wiatr i deszcz. Trening wymagał intensywnej koncentracji, która ogromnie ją wyczerpała. Czuliła się tak, jakby przebiegła maraton. Pot zalewał jej twarz, była osłabiona. Biała koszulka z napisem „Lubię grube książki i nie umiem kłamać” kleiła się jej do ciała.

Taylor wypija łyk ciepłej wody z butelki i spojrzała w dal, za łąkę, na wysokie kamienne iglice kolegium. Wyglądało zupełnie jak biały zamek połyskujący w słońcu.

Nadal nie mogła uwierzyć, że teraz to jej dom. Każdego ranka budziła się w nieznannej sypialni i wodziła wzrokiem po białych ścianach i staroświeckich meblach, zastanawiając się, gdzie do diabła jest. Potem powracały wspomnienia. Walka w Londynie. Zwiastuni otaczający ją na ulicy, miażdżący ją. Sacha, który przybył jej z pomocą na ryczącym, pięknym motocyklu. Przytłaczający napływ mocy, kiedy oboje połączyli siły i wspólnie pokonali demoniczne stwory.

Z zamyślenia wyrwało ją brzęczenie telefonu. Wyjęła go i na ekranie ukazał się SMS od mamy.

Tęsknię, skarbie. Zadzwoisz wieczorem?

Taylor poczuła ucisk w piersi i przycisnęła do siebie komórkę.

Louisa i inni alchemicy zabrali ich do Oksfordu, by zapewnić im bezpieczeństwo, i może rzeczywiście byli tu w miarę bezpieczni. Taylor nie czuła się jednak w kolegium jak w domu. Tęskniła za mamą bardziej, niż byłaby to skłonna przyznać. Odpisała:

Tak! Zadzwoię przed kolacją.

Ogromnie brakowało jej domu, nawet młodszej siostry Emily, no i naprawdę tęskniła za Georgie. Najlepsza przyjaciółka często pisała do niej SMS-y, ale obie dziewczyny dzielił znaczny dystans, i to pod wieloma względami. Georgie była w Woodbury, zdawała egzaminy i marzyła o letnim wyjeździe z rodziną do Hiszpanii, kiedy już skończy się szkoła, Taylor zaś uczyła się walczyć z potworami.

Dyskretnie zerknęła na Louise, która nadal rozmawiała przez telefon, wzięła głęboki oddech i otrząsnęła się z melancholii. Nikt nie mógł się domyślić, jak naprawdę się czuła. Musieli wierzyć, że sobie poradzi. Nie mieli wyboru.

Louisa w końcu wepchnęła komórkę do kieszeni obciętych dzinsów i wróciła do Taylor.

– Musimy wracać – oświadczyła. – Jones chce mnie widzieć.

Jonesem wszyscy nazywali dziekana Kolegium Świętego Wilfreda, Jonathana Wentwortha-Jonesa. W kolegium nie istniała wyraźna hierarchia władzy, niemniej trudno było się nie denerwować, kiedy wzywał dziekan.

Zadowolona z zakończenia treningu Taylor ruszyła za Louisą do ścieżki prowadzącej przez podmokłą łąkę do kolegium.

Dróżka była wąska i wiodła wśród wysokich traw oraz polnych kwiatów, które napierały z boków, łaskocząc dziewczyny

po nogach. W drodze Taylor spięła niesforne blond loki w luźny kok, dzięki czemu łagodny wietrzyk chłodził skórę na jej karku.

Nie przypominała sobie gorętszego lipca. Każdego dnia skwar był nieznośny, zupełnie jakby zbliżał się koniec świata.

Tak bardzo zatoneła w myślach, że dopiero w połowie drogi przez łąkę zauważyła, że Louisa nic nie mówi. W innych okolicznościach Taylor z pewnością dostałaby po uszach za porażkę z kamieniami i czekałoby ją parę dodatkowych godzin szkolenia. Tymczasem Louisa milczała, wyraźnie spięta i zafrasowana.

Taylor popatrzyła na nią z ciekawością.

– Co się dzieje? – zapytała.

Louisa podniosła wzrok. W jaskrawym świetle słońca jej oczy przybrały barwę ciepłego toffi.

– Nic takiego. – Wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. – Jones zawsze się przejmuję, jak nie tym, to tamtym.

Taylor widziała, że Louisa coś ukrywa, ale nie drażyła tematu. Miała własne problemy na głowie.

Z każdym gorącym letnim dniem doskonaliła swoje alchemiczne umiejętności. Może i nie dawała sobie rady z głupimi kamulcami, ale bez wątpienia szło jej coraz lepiej. Nawet teraz trudno jej się było skupić na ścieżce, gdyż miała wrażenie, że podążają za nią cząsteczki energii, której złociste kule wyrsały na drodze. Wielkie miodowe plamy i strumienie mocy otaczały Taylor ze wszystkich stron. Ten widok nieustannie ją rozpraszał, do tego stopnia, że kręciło się jej w głowie, kiedy próbowała patrzeć na niego i jednocześnie iść, więc musiała się uczyć koncentracji na postrzeganiu świata takim, jakim widzieli go zwykli ludzie. Niebieskie i różowe kwiatki. Jedwabista zielona trawa. Światło słoneczne.

Na końcu ścieżki, pośrodku kamiennego muru z głęboko osadzonymi oknami, znajdowały się podniszczone drewniane drzwi, nad którymi widniały wyryte w kamieniu stare

znaki. Za pierwszym razem Taylor ledwie je zauważyła, teraz jednak przez cały czas gdzieś je dostrzegała, gdyż w kolegium widniały dosłownie wszędzie. Urzekła ją złowroga moc uroborsa, węża pożerającego własny ogon, podziwiała prostotę idealnego okręgu splecionego z trójkątem, a także doskonałość wszechwidzącego oka. Tych znaków było kilkadziesiąt, w różnych miejscach, a każdy symbolizował pierwiastek ważny dla dawnej alchemii – miedź, rtęć, cynę – z odpowiednią mocą, która chroniła przed mroczną energią. Złoto, symbolizowane przez słońce, oraz srebro, oznaczane znakiem księżyca, były najsilniejsze. Symbole słońca i księżyca widniały nad wszystkimi framugami drzwi i okien, na każdej ścianie.

Wszystkie razem tworzyły ochronną barierę wokół kolegium. W zwykłych okolicznościach to wystarczyłoby do zapewnienia szkole bezpieczeństwa. Rzecz w tym, że sytuacja się zmieniła.

Nic już nie było bezpieczne.

W drzwiach brakowało klamki. Louisa przycisnęła opuszki palców do porysowanego drewna. Kilka sekund później rozległo się metaliczne szczęknięcie i drzwi się otworzyły.

Po drugiej stronie studenci i nauczyciele pośpiesznie przemierzali czworokątny, porośnięty trawą i otoczony wysokimi, kamiennymi budynkami dziedziniec. Wysoko w górze piętrzyły się eleganckie wieże i iglice. To miejsce wyglądało jak najzwyklejsze w świecie oksfordzkie kolegium, i w pewnym sensie takie było.

Dziewczyny włączyły się w potok wędrujących studentów.

– Posłuchaj, nie denerwuj się z powodu treningów. – Louisa odezwała się tak nieoczekiwanie, że przestraszona Taylor drgnęła. – Załapiesz. Robisz postępy.

– Wiem – odparła. – Szkoda tylko, że idzie mi tak wolno.

– Idzie ci szybko. – Louisa uśmiechnęła się ponuro. – Nie dostrzegasz tego, bo czas nas goni.

Grupka studentek zebrała się przy kamiennej kolumnie i wbiła wzrok w Taylor. Nawet nie próbowały ukryć zainteresowania, a ich szept dźwięczał w jej uszach.

– To ona?

– Wydaje się całkiem zwyczajna.

Takie sytuacje zdarzały się na okrągło i Taylor wiedziała, że powinna się już z nimi oswoić, ale nie potrafiła. Jej policzki poczerwieniały i poczuła, jak wzbiera w niej złość.

Odkąd przyjechali do kolegium, musiała nieustannie wysłuchiwać plotek o sobie i o Sachy. Studenci nie znali całej historii, gdyż Jones zachowywał dyskrecję, żeby uniknąć paniki. Wszyscy jednak wiedzieli, że obecne kłopoty w szkole mają związek z nimi dwojgiem, i nie byli zachwyceni.

Zanim Taylor zdążyła wymyślić odpowiednio kąśliwą odpowiedź, Louisa podeszła do dziewczyn i stanęła przed nimi z założonymi rękami.

– Co się takiego stało w waszym życiu, że tak się zachowujecie? – spytała, mierzając je płonącym wzrokiem. – To nie liceum, do cholery. Spadajcie stąd albo poskarżę się na was Jonesowi.

Dziewczyny skuliły się, wystraszone jej spojrzeniem. Wystarczyło kilka sekund, żeby cała gromadka rozpierzchła się i wtopiła w hałaśliwy tłum na dziedzińcu.

– Kretynki – wymamrotała Louisa. – Idziemy.

Chwyła Taylor za łokieć i pociągnęła ją po kamiennym chodniku. Po chwili przystanęła przed schodami wysokiego gotyckiego budynku administracji, ocienionymi przez maszkarony o wyglądzie jaszczurów, które złowrogo łypały na ludzi w dole.

– Możesz poczekać tutaj, jeśli chcesz, ale nie wiem, jak długo to potrwa. – Zmarszczyła brwi. – Może zgłosisz się do Alastaira i pozostałych?

– Jasne. – Taylor wzruszyła ramionami.

Louisa spojrzała na nią surowo.

– Pójdiesz prosto tam, jasne?

Taylor chciała coś odburknąć, ale znowu ugryzła się w język. Ona i Sacha byli nieustannie strzeżeni, nawet na terenie kolegium, i oboje mieli dość tego, że wszyscy traktują ich jak dzieci.

– Obiecuję – odparła z kamienną miną i skinęła głową.

Kiedy jednak Louisa weszła do środka, Taylor nie skierowała się do laboratorium, gdzie naukowcy nadal badali przywiezione z Londynu szczątki martwych zwiastunów.

Ruszyła zdecydowanym krokiem w przeciwnym kierunku.

Biblioteka Kolegium Świętego Wilfreda była okrągłym gmachem z kolumnami, wzniesionym z tego samego złocistego wapienia co większość budynków w Oksfordzie. Kopała miedzianego dachu lśniła zielenią w palącym słońcu.

Taylor minęła szerokie drzwi, zdobione alchemicznymi symbolami, i weszła w chłodny półmrok głównej czytelnicy. Na blatach ustawionych w symetrycznych półkolach stołów znajdowały się po dwie mosiężne lampy, krzesła były obite skórą. Większość miejsc świeciła pustkami, ale nie dlatego, że studenci kolegium się nie uczyli – po prostu całe to pomieszczenie było zasadniczo na pokaz. Używane na co dzień sale biblioteki rozciągały się poza reprezentacyjną część budowlę, zajmując obszar większy niż kwartał dużego miasta. Na tysiącach półek na czterech kondygnacjach ustawiono gigantyczną liczbę książek, w podziemiach znajdowało się ich jeszcze więcej. To był olbrzymi labirynt czytelniczy.

Mimo rozmiarów tego miejsca Taylor domyślała się, gdzie znajdzie Sachę. Szybkim krokiem przeszła przez cichą salę, minęła rzeźbione w marmurze kolumny, grube niczym pnie

drzew, i ruszyła prosto ku wysokim podwójnym drzwiom do obszernego atrium. Tam poczuła zapach kawy parzonej w studenckim bufecie na dole i pomyślała tęsknie o pysznych ciastkach z kawałkami czekolady, ale nie przystanęła, tylko poszła do głównych schodów, które zakręcały wokół posągu czterech skaczących koni.

Sacha i Taylor trafili do kolegium zaledwie trzy tygodnie wcześniej, ale ona już zdążyła przywyknąć do tej nietypowej sytuacji. Zmuszeni do funkcjonowania w skomplikowanym, nowym świecie, gdzie wszyscy byli starsi od nich, bardziej pewni siebie i najprawdopodobniej wolni od obawy przed rychłą śmiercią, Taylor i Sacha szybko oswoili się z codzienną rutyną, której przestrzegali z niemal nabożną czcią. Każdego popołudnia Taylor trenowała z Louisą, a Sacha otaczał się stertami starych francuskich ksiąg w bibliotece, by poszukiwać odpowiedzi.

Ledwie zaszyciwszy spojrzeniem rozszalałe kamienne zwierzęta, pobiegła na górę, mijając snujących się studentów i powłóczących nogami profesorów. Gdy tylko dotarła na następne piętro, skręciła w prawo i ruszyła prosto między wypełnione stosami książek regały.

Sacha, jak zwykle ubrany w czarną koszulkę i dżinsy, siedział sam przy ostatnim stole w kącie i pochylał się nad tomami, lekko opierając głowę na palcach jednej dłoni. Wyciągnął długie nogi w stronę przejścia, a kosmyki opadających mu na czoło prostych brązowych włosów zasłaniały jego twarz.

Energia alchemików była ciepła i jasna – energia Sachy w niczym jej nie przypominała. Kojarzyła się raczej z oazą chłodnego, spokojnego błękitu okolonego ciemnością. Chłopak skrywał w sobie niebezpieczeństwo, które niezwykle pociągało Taylor.

Odkąd razem zabili zwiastunów, czuli, że coś ich łączy. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale Taylor była pewna, że Sacha zdaje sobie z tego sprawę. Miał to wypisane na twarzy, widziała to również w zamyślnym wyrazie jego oczu.

Teraz jednak na nią nie patrzył. Był tak zajęty czytaniem, że podskoczył, gdy bezceremonialnie usiadła na obitym skórą krześle naprzeciwko niego.

– *Merde*, Taylor – obruszył się. – Nie podkradaj się tak.

Wypowiadane z aksamitnym francuskim akcentem słowa brzmiały tak niesamowicie, że mimowolnie się uśmiechnęła.

– Wybacz.

Popatrzył na nią, na jej zaróżowione policzki i rozczochrane włosy. Jego irytacja natychmiast się ulotniła.

– Jak trening?

– Kicha – westchnęła.

Sacha zmarszczył brwi i niepewnie przyjrzał się jej twarzy.

– Kicha? Nie wiem, co masz na myśli.

Taylor uczyła go ważnych aspektów angielskiego, których nie mógł poznać w szkole, na przykład przekleństw i powiedzonek.

– Kicha, bo idzie powoli i opornie – wyjaśniła i rozparła się na krześle. – Innymi słowy, jestem najgorszą alchemiczką w historii. Nie daję sobie rady z kamieniami. To żenada.

– Jesteś na tyle dobra, żeby zabijać zwiastunów – zauważył. – Czyli lepsza niż inni.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Szkoda, że cię tam nie było. Powiedziałbyś to Louisie.

– Nadal ten sam problem? Chodzi o panowanie nad sytuacją?

Taylor skinęła głową.

– Louisa mówi, że jestem jak pocisk raketowy z głowicą atomową, który wyrwał się spod kontroli.

– Ostro. – Jego usta drgnęły.

– Prawda?

Sacha znowu spowaźniał i postukał palcami otwartą, ciężką księgę, która przed nim leżała. Był to jedyny znak, że się niepokoił.

– Jak sądzisz, co to takiego? Co cię powstrzymuje? Przecież widziałem, jak kontrolujesz moc, zdawałoby się bez wysiłku.

W jego głosie nie było słycać potępienia, ale Taylor się zawahała. Nie chciała odpowiadać „Nie wiem”. Jego życie zależało od tego, czy uda się jej zrozumieć, jak być dobrą alchemiczką. W tej chwili na pewno nie była dobra.

– Trudno ją kontrolować, kiedy nikt nie stoi mi nad głową i nie próbuje mnie zabić... To znaczy nas – powiedziała po dłuższej chwili. – Jestem lepsza niż kiedyś, ale nadal tracę kontrolę i nie wiem dlaczego. Louisa mówi, że to kwestia wprawy, ale przecież zostało nam niewiele czasu.

– Dasz sobie radę – odparł. – Po prostu dalej rób swoje.

Jeśli był zdenerwowany, jeśli się bał, że Taylor zawiedzie i w rezultacie on umrze, dobrze to ukrywał.

Nie chciała zdradzić, jak bardzo się niepokoi, więc postanowiła zmienić temat. Wyciągnęła książkę ze stosu na stole, spojrzała na francuski tytuł i od razu go przetłumaczyła.

– *Stosy Carcassonne*. – Zmarszczyła nos. – Pogodna lektura.

– No tak... Wiesz, Taylor, naprawdę nie mam...

Unióś rękę, żeby zabrać jej książkę, ale zdążyła już ją otworzyć. Na pierwszej stronie widniała grafika przedstawiająca płonący stos, na którym stała kobieta ze związanymi za plecami rękoma. Mimo że rysunek był niewyraźny, Taylor dobrze widziała jej twarz, wykrzywioną strachem i bólem.

– To bardzo przejmująca lektura – powiedział cicho Sacha. Nie odpowiedziała. Nie było potrzeby.

Niewiele wiedzieli o kłątwie, która zagrażała życiu Sachy, ale było jasne, że zaczęła się od Isabelle Montclair, jednej z przodkiń Taylor. Alchemiczka Isabelle, żyjąca w siedemnastowiecznej Francji, odrzuciła swoją wiarę i zwróciła się ku demonologii, którą alchemicy nazywali mrocznymi praktykami. Podobnie jak wielu z nich, spłonęła na stosie jako czarownica, jednak dwie kwestie sprawiły, że jej egzekucja różniła się od pozostałych.

Po pierwsze, osoba, która spaliła Isabelle, była przodkiem Sachy. Po drugie, umierająca alchemiczka wykorzystała nieznane mroczne moce, żeby przekląć trzynaście pokoleń rodziny swojego oprawcy. Właśnie z tego powodu w ciągu wieków zmarło w niej dwunastu pierworodnych synów.

Sacha był trzynasty.

Taylor niecierpliwie wertowała strony, jakby liczyła na to, że wskazówki same z nich wyskoczą.

– Jest tu coś o klątwie? – zapytała.

– Nic nowego. Znalazłem wzmiankę o spaleniu Isabelle Montclair, ale informacje są szczątkowe. Nic z tego, czego potrzebujemy. – Zatrzasnął starą księgę tak nieoczekiwanie, że Taylor ledwie zdążyła zabrać palce. – Gdzieś muszą być informacje o tym, jak odczynić taką klątwę. W tej bibliotece zebrano tysiące ksiąg o alchemii i o mrocznych praktykach. Na pewno jest tu coś, co się przyda. Musi być.

Słyszała frustrację w głosie Sachy i zrobiło się jej przykro, że nie może go pocieszyć, ale prawda była taka, że jeśli mieli go uratować, musieli zrozumieć klątwę. Alchemicy z Kolegium Świętego Wilfreda od lat bezowocnie poszukiwali rozwiązania tego problemu, a tymczasem urodziny Sachy przypadły już za tydzień. Sytuacja przedstawiała się coraz gorzej.

– Musi być i jest – zapewniła go Taylor i sięgnęła po następną książkę ze stosu na stole. – Znajdziemy to. Pomogę ci.

Sacha nie protestował. Kiedy jednak Taylor przeglądała starą francuską księgę, którą ledwie rozumiała, nie wziął innego tomu, tylko wstał i się przeciągnął. Jego czarna koszulka podjechała do góry, odsłaniając opaloną skórę na płaskim brzuchu.

– Wertuję te książki od rana – powiedział. – Muszę stąd wyjść. – Zerknął na Taylor z łobuzerskim błyskiem w oczach. – Chodź, porzucamy kamieniami.

Dziesięć minut później szli pośpiesznie przez skąpany w popołudniowym słońcu dziedziniec. Sacha założył ciemne okulary, ignorując ciekawskie spojrzenia mijanych studentów. W przeciwieństwie do Taylor bardzo lubił, gdy go obserwowano i o nim szeptano. Uważał, że to zabawne.

„Idzie ten Francuz, który wie, kiedy dokładnie umrze”.

Idiotyczny powód do sławy.

– Louisa wpadnie w szal, kiedy się zorientuje, że nas nie ma. – Taylor wydawała się tak zaniepokojona, jakby ukradli samochód.

Sacha ledwie zdołał ukryć uśmiech. Przez cały czas stosowała się do zasad, co było zarazem urocze i frustrujące. Świat dosłownie się kończył, a ona nadal chciała prosić o pozwolenie na wyjście.

– Jeśli rozwiążemy twoje problemy z kontrolą, Louisa nam wybaczy – zapewnił ją.

– Wątpię – wymamrotała, ale nie zwolniła.

Jej blond loki wymknęły się ze spinki i rozsypały wokół twarzy, otaczając ją złocistą aureolą. Policzki miała zarumienione od upału.

Taylor podniosła wzrok i zobaczyła, że Sacha się w nią wpatruje.

– Co? – spytała, niepewnie dotykając włosów.

Szybko odwrócił wzrok.

– Nic – mruknął.

Gdy opuścili dziedziniec i weszli w cień pod sklepieniem przejściem przy wydziale nauk ścisłych, Sacha przyśpieszył kroku. Chciał jak najszybciej się stąd wydostać, choćby na kilka minut.

Nie przeszkadzały mu spojrzenia studentów, jednak nie lubił kolegium. Ani trochę tu nie pasował. Nie chodziło o barierę językową – Sacha dobrze znał angielski – lecz o to, że w przeciwieństwie do pozostałych nie był alchemikiem i czuł się tutaj nie na miejscu.

Wszystko wokoło przypominało mu o jego normalności. Profesorowie prowadzący badania w bibliotece zdejmowali książki, nawet po nie sięgając. Wcześniej tego dnia widział, jak jeden z nich spojrzeniem podgrzewa kubek zimnej herbaty.

Sacha zdawał sobie sprawę z tego, że alchemia to coś więcej niż takie sztuczki, jednak tego nie dostrzegał. Taylor opowiadała mu o strumieniach energii i cząsteczkach, których nigdy nie widział. Widział za to, jak bardzo różni się od wszystkich tutaj i jaki jest zwyczajny.

Jego odmienność miała znaczenie. Przez nią czuł się wyrzutkiem, nawet gdy znajdował się w samym centrum zdarzeń.

Kiedy doszli do ukrytych w cieniu drzwi na skraju dziedzińca, Sacha machinalnie sięgnął po klamkę i nagle uświadomił sobie, że jej tam nie ma. Jego dłoń przez sekundę wisiała w powietrzu, jakby zastanawiając się, co tam robi.

– Ja się tym zajmę – powiedziała Taylor z nutą skruchy w głosie.

Cofnął się i patrzył, jak przykładła palce do drewna. Zamek natychmiast zachrobotał i masywne drzwi stanęły przed nimi otworem.

Sacha był świadkiem, jak robiła znacznie bardziej zadziwiające rzeczy niż otwarcie drzwi, jednak uświadomił sobie, że ostatecznie przychodzi jej to z coraz większą łatwością. Nieustannie powątpiewała w swoje możliwości, ale jej pewność siebie rosła z dnia na dzień, nawet jeśli Taylor nie zdawała sobie z tego sprawy. Już nie bała się tego, co potrafi, ani tego, kim jest.

Ruszył za nią na skraj rozległej, dzikiej łąki, porośniętej trawą i polnymi kwiatami. Przez chwilę ze zdumieniem tylko się w nią wpatrywał. Taylor opowiadała mu o łące, jednak nigdy jej nie widział, gdyż pod żadnym pozorem nie pozwalano mu wychodzić z kolegium. Dziekan był bardzo stanowczy w tej kwestii i Sacha od przyjazdu nie opuszczał uniwersyteckich murów.

Teraz czuł się tak, jakby odzyskał wolność i trafił do innego świata.

Napięcie, które od wielu dni ścisnęło go niczym żelazna obręcz, ustąpiło. Przez moment stał nieruchomo, napawając się widokiem. Taylor, która zdążyła już zrobić kilka kroków po ścieżce, odwróciła się i spojrzała na niego.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się.

– Nic. – Wepchnął dłonie do kieszeni i ruszył za nią, oddychając głęboko.

Powietrze słodko pachniało trawą i kwiatami, a ziemia pod stopami Sachy była bardzo miękka. Po tygodniach zamknięcia w zakurzonych, starych pomieszczeniach czuł się cudownie.

W oddali słyszał szum samochodów. Gdzieś tam toczyło się normalne życie, ale sprawiało wrażenie bardzo odległego.

– Chyba jestem w niebie – westchnął, wystawiając twarz do słońca.

Taylor zerknęła na niego z uśmiechem.

– Cieszysz się, że wyszedłeś z biblioteki?

Skinął głową, nie opuszczając wzroku. Sama myśl o powrocie do książek sprawiała, że miał ochotę pobiec przed siebie i nigdy się nie zatrzymywać. W końcu popatrzył Taylor w oczy.

– Najgorsze nie jest czytanie – wyznał. – Ani nie studenci, którzy plotkują o nas, jakby liczyli na to, że zacznę latać czy coś. Najgorsi są profesorowie.

– Fakt – przyznała Taylor. – Ten z brodą...

Sacha skrzywił się wymownie.

– Jest okropny. Przez pewien czas czytałem księgi w tym pomieszczeniu na parterze, ale musiałem się wynieść, bo ciągle kichał i to naprawdę głośno. I za każdym razem patrzył na mnie, jakby to była moja wina.

Taylor wybuchnęła śmiechem.

– Poważnie?

– Chyba jest uczulony na Francuzów.

Roześmiała się jeszcze głośniej, a Sacha nagle uświadomił sobie, że od dawna nie widział jej tak rozbawionej. Ostatnio wszystko było okropnie poważne.

– A co u ciebie? – zapytał.

Jej uśmiech znikł.

– Przecież wiesz. – Odwróciła wzrok. – Przychodzę tu codziennie i naprawdę bardzo się staram. I wszystko chrząnię.

Przez chwilę wędrowali w milczeniu. Sacha znowu włożył ręce do kieszeni i co pewien czas ukradkiem zerkał na Taylor, która marszczyła czoło, skupiona na swoich problemach.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo zależało jej na sukcesie. Powinien jej powiedzieć, aby nie była dla siebie tak surowa, ale jeśli miał być szczery, za każdym razem, kiedy informowała go, że coś poszło źle podczas treningu, czuł się tak, jakby oberwał pięścią w brzuch. Taylor bardzo pragnęła odnieść sukces, lecz on potrzebował tego jeszcze bardziej.

Rozpaczliwie zależało mu na tym, żeby okazała się silna i mogła stawić czoło mrocznemu wyznawcy. Wściekało go, że nie jest w stanie sam się ocalić i potrzebuje jej do tego. Obarczanie jej taką odpowiedzialnością było niesprawiedliwe. W końcu znali się dopiero od kilku tygodni, a teraz musiała uratować mu życie.

Właśnie dlatego Sacha spędzał każdy dzień w bibliotece i dlatego zatonął pod stosem starych francuskich ksiąg. Musiał jakoś przyczynić się do własnego ocalenia i nie zamierzał wywierać jeszcze większej presji na Taylor.

– Jesteś coraz lepsza – zapewnił ją.

Popatrzyła na niego, a w jej chłodnych, zielonych oczach pojawiły się wątpliwości.

– Jesteś – upierał się. – Nie widzisz tego, bo dostrzegasz tylko to, czego nie potrafisz zrobić. Za to ja widzę wszystko, co potrafisz, i wiem, że jesteś coraz lepsza.

Przeszli jeszcze kilka kroków, zanim odpowiedziała tak cicho, że na początku nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Ale za wolno to przebiega.

Nie zdążył wymyślić żadnej odpowiedzi, gdyż nagle wskazała ręką przed siebie, zmieniając temat.

– Idziemy tam – oświadczyła.

Przyśpieszyła kroku, kierując się ku srebrnej wstędze rzeki, która wiła się wśród drzew. Sacha ruszył za nią po kamiennych schodach, prowadzących w dół, do podnieszzonego, kamiennego hangaru na łodzie.

Łagodny wietrzyk znad spokojnej wody rozwiewał włosy Sachy, przez co wpadały mu do oczu. Powietrze pachniało zielenią oraz wilgocią, i było chłodniejsze niż w kolegium.

– To tu. – Taylor rozłożyła ręce. – Tutaj przychodzę każdego dnia.

Poza hangarem, starą ławką i błotnistym brzegiem znajdowała się tu jedynie urokliwa wierzba płacząca. Jej długie

gałęzie wisiały nad wodą, która szarpała i ciągnęła ją za liście. Miejsce było ciche i odosobnione, wręcz idealne na trening.

Sacha podniósł kamyk z mokrego piachu i puścił kaczkę na rzece. Kamyk odbił się kilka razy od wody i cicho zatonął w falach. Chłopak odwrócił się do Taylor.

– Pokaż, co potrafisz – zażądał.

Przez chwilę spodziewał się protestów czy wręcz odmowy. Taylor jednak wzruszyła tylko ramionami i się odwróciła, wodząc wzrokiem po brzegu. Gdy udało jej się znaleźć to, czego szukała, wyciągnęła przed siebie rękę.

Ciężki kamień na brzegu rzeki drgnął i wzbił się w powietrze, jakby nic nie ważył. Na czole dziewczyny pojawiły się krople potu. Utrzymywała kamień nad ziemią przez kilka sekund, po których dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie.

Taylor wzdrygnęła się i cicho krzyknęła, a kamień spadł, lądując z głuchym plaśnięciem w miękkiej, mokrej ziemi nad wodą. Zapadła cisza.

– Ups – odezwał się w końcu Sacha.

– No właśnie. – Rozgoryczona Taylor otarła pot z czoła. – Ups.

– Zawsze tak się dzieje? – zapytał, wpatrując się w kamień. Zacisnęła zęby i pokiwała głową.

– Za każdym razem – potwierdziła.

To, że nie potrafiła podnieść tego głazu, na tym etapie powinno być zupełnie bez znaczenia. Powinna mieć lata na doskonalenie umiejętności, na studia, na naukę. Niestety, nie miała lat, lecz zaledwie kilka dni.

Historia jej rodziny nie pozostawiała wątpliwości, że to właśnie Taylor może zdjąć kłatwę ciążyącą na Sachy i pokrzyżować demoniczne plany mrocznego wyznawcy. Nie wiedzieli jedynie, jak ma to zrobić.

Dlatego to, że nie radziła sobie podczas treningów, było takie istotne. Dlatego ludzie szeptali po kątach o nich obojgu.

Wszyscy czuli strach. Mroczny wyznawca zamierzał się do nich dobrać, a czas uciekał.

Sacha wyciągnął ręce z kieszeni.

– Spróbujemy czegoś innego – oznajmił.

Zebrali najcięższe kamienie, jakie udało im się znaleźć, i usypali z nich stos na brzegu rzeki. To była ciężka praca, więc gdy skończyli, oboje ociekali potem.

Taylor wycofała się tak daleko, że stanęła niemal na łące. Sacha wydawał się zdumiony jej zachowaniem.

– Lepiej się schowaj – ostrzegła go. – Możesz oberwać kamieniem.

Parsknął śmiechem.

– Nic mi się nie stanie – powiedział. – Puśćmy kilka kaczek.

Wyprostowała ramiona i odetchnęła głęboko, wyciągając rękę. Sacha chwycił ją i splótł palce Taylor ze swoimi. Mimo upału miała aksamitnie miękką i chłodną skórę.

Zacisnąwszy jego dłoń, popatrzyła na Sachę oczami zielonymi jak liście wierzby.

– Nie puszczaj – mruknęła.

Przez chwilę nie mógł nic powiedzieć, oszołomiony jej roziskrzonym spojrzeniem. Z trudem zebrał myśli.

– Nie puszczę – odparł w końcu.

Nagły prąd przeszył ciało Sachy i chłopak gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. Poczul, jak mięśnie Taylor sztywnieją.

– Teraz – oznajmiła głębokim głosem.

Spoglądała prosto przed siebie. Odwrócił się, żeby zobaczyć, na co patrzyła.

Kamienie, które przed chwilą zebrali, wzbiły się w powietrze i fruwały wysoko nad wodą, lekkie jak baloniki, podskakując niczym latawce.

Serce Sachy zabiło mocniej. Czuł, jak wzbiera w nim energia, przenika do Taylor i wraca, wiążąc ich oboje. To połączenie między nimi było niczym przewód pod napięciem, tak jak wtedy kiedy razem walczyli ze zwiastunami w Londynie. Mogli osiągnąć wszystko.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak żywy jak w tej chwili.

– Co teraz? – zapytał bez tchu.

– Teraz je ustawimy – odparła, boleśnie zaciskając palce na jego dłoni.

Nieustannie wpatrywała się w kamienie, które, całkowicie pod jej kontrolą, zaczęły powoli sunąć ku rzece. Gdy dotarły do wody, ustawiły się w linii i zakołysały na powierzchni niczym gromadka kaczek.

– *Hallucinant* – wymamrotał Sacha z podziwem. – Jak to zrobiłaś?

Taylor uśmiechnęła się do niego. Po jej czole spływał pot, miała zarumienione policzki.

– Nie wierzę – wyszeptała. – Od wielu dni próbuję. Nie mogłam zrobić tego sama, ale z tobą to była pestka.

– Otóż to – oznajmił. – Tego właśnie nie rozumieją. Musimy zrobić to razem. Przez cały czas powinienem z tobą trenować.

– Ja też tak uważam – przytaknęła. – Razem mogłoby nam się udać.

Przez jedną krótką chwilę Sacha odważył się poczuć iskierkę złudnej nadziei. Może dlatego nie od razu zwrócił uwagę na ten dziwny dźwięk – niski, huczący ryk, jaki wydają rozbijające się na brzegu fale oceanu. Nagle jednak odwrócił się ku wodzie i jeszcze mocniej ścisnął rękę Taylor.

– Taylor...

Słyszając ostrzegawczą nutę w jego głosie, popatrzyła w tym samym kierunku.

Rzeka wystąpiła z koryta i ruszyła w ich stronę, coraz bardziej oddalając się od przeciwległego brzegu. Wspiwała się po

podmokłym gruncie i zdawała się wyginać niczym kwiat ku tarczy słońca.

Ciężkie kamienie przez cały czas podskakiwały wesoło na szczytach fal.

Taylor zbladła.

– O, nie... – wyszeptała, po czym wrzasnęła ile sił w płucach: – DOŚĆ!

Wyciągnęła przed siebie rękę, koncentrując całą swoją moc na rzece.

Woda jednak wciąż toczyła się w ich kierunku. Koryto rzeki stopniowo się opróżniało, ciemny muł lśnił w słońcu. Cała woda zalewała teraz plażę, zmierzając ku łące, fale rozbijały się o mury hangaru na łodzie. Nic nie mogło powstrzymać powodzi.

Sacha odwrócił się i popatrzył na Taylor.

– Wiesz co...

– Próbuję. No już... – Spanikowana, zwróciła się do rzeki: – Błagam, dość.

– Musicie puścić rękę – dobiegł ich z łąki głos Louisy.

Oboje się odwrócili. Louisa stała za nimi w rozkroku, z rękami na biodrach, a jej niebieskie włosy połyskiwały w świetle. Wydawała się wściekła.

– Musicie puścić rękę, albo utoniecie.

TAYLOR i SACHA ukrywają się w oksfordzkim Kolegium Świętego Wilfreda. Tu, pod opieką alchemików, są bezpieczni – przynajmniej na razie. Taylor trenuje, by móc stawić czoła siłom mroku, a Sacha w starych księgach szuka wskazówek dotyczących swojego losu.

Czas płynie nieubłaganie. Ciemne moce przybierają na sile i zaczynają zagrażać całemu światu. Za siedem dni chłopak skończy osiemnaście lat, a wtedy pradawna klątwa, która do tej pory go chroniła, ma sprawić, że Sacha zginie. Jest tylko jeden sposób, aby to powstrzymać. Bohaterowie muszą dotrzeć do miejsca, gdzie ród Lhiverów został przeklęty, i zmierzyć się z demonami.

Taylor i Sacha wyruszają w niebezpieczną podróż. Stawką jest życie tych, których najbardziej kochają.

♈ ♉ ♊ ♋ ♌ ♍ ♎

Pradawna moc i śmiertelna klątwa,
szaleńczy wyścig z czasem i walka z przeznaczeniem.
Akcja **TAJEMNEGO MIASTA** pędzi jak rollercoaster!

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-421-4



9 788375 154214

Cena detal. 39,90 zł

Dołącz do fanów książek Moondrive:
facebook.pl/MoondriveKsiazki

 lubimyczytac.pl